

## **Za mało samotna?**

Jennifer czeka na mężczyznę, poznanego kiedyś w barze. Zauroczył ją, spędzili z sobą noc (a może wcale nie, tylko ona sobie już to wyobraziła). Dała mu swój numer telefonu...

Jest pewna, że on zadzwoni i przyjedzie do niej. Toteż stara się nie wychodzić z domu (mamy erę przedkomórkową). Czeka w wielkim napięciu, nerwowo reaguje na pomyłkowe połączenia. Jest zawsze gotowa na przyjęcie wyczekiwanego gościa, dba o strój, nakrywa do stołu na dwie osoby... Banalne? Dostyc. Ale jest pewna okoliczność, która zainteresowanie tą sytuacją wzmacnia: Jennifer to transwestyta. Mieszka w dzielnicy takich jak ona. Autor sztuki "Pięć róż dla Jennifer", Annibale Ruccello, środowisko transwestytów obserwował jako antropolog. Zapewne jednak nie tylko dlatego uczynił ich bohaterami swej czarnej komedii. Ich samotność jest wszak szczególnie wyrazista. Pogłębia ją "inność", przekraczanie granic tradycyjnych ról. By żyć, tworzą iluzje, dopisują sobie życiorysy. Gdy Jennifer rozmawia z innym transwestytą, mówią o swych byłych mężach, porodach, menstruacjach... Wielką zasługą aktorów, Pawła Tchorzelskiego w tytułowej roli i Jarosława Felczykowskiego jako sąsiadki, transwestyty Anny, jest to, że widownia nie zrywa boków z facetów udających babki, ale obserwuje dwie samotne, rozmawiające o życiu niemłode kobiety. Że nie ma tu pastiszu, a jest empatia.

Ale ja z "Pięcioma różami" mam kłopot. Sztukę tę Ruccello, zmarły tragicznie w wieku 30 lat włoski dramaturg, stworzył jako zaledwie dwudziestoczterolatek. Nagrody dostał później, za kolejne teksty. Może stąd, z braku doświadczenia, te mankamenty. Mam bowiem wrażenie, że "Pięć róż" lepiej sprawdziłoby się jako monodram. Są w tej sztuce długie sekwencje, gdy Jennifer pozostaje na scenie sama - krząta się po mieszkaniu, odbiera telefony, a jej reakcje na pomyłkowe połączenia zawierają całą gamę emocji. Słucha jednocześnie radiowej audycji dla kobiet (dla transwestytów?), ale umieszczenie na scenie dziennikarki i jej rozmówczyń (w rolach transgenderowych radiosłuchaczek sugestywna Anna Romanowicz-Kozanecka) wcale nie jest konieczne. Dwie wizyty – to prawda, dramatyczne – Anny to właściwie jedyne przerywniki samotności bohaterki. Mam wrażenie, że taka konstrukcja sztuki, monodramu, z rzadka przestającego być monodramem, przeszkadza misternemu budowaniu napięcia, co przez większość czasu dźwiga na barkach aktor grający Jennifer.

**Mirosława Kruczkiewicz**

**Nowości nr 13**

**25-01-2013**